№ 17 WARSZAWA, DNIA 26 KWIETNIA 1913 ROKU ROK III

NASZ ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

JAN POWALSKI.

W GRODZIE ŻAKÓW.

Ciąg dalszy.

Odsapnął, i jeszcze coś chciał mówić, ale Pietrek, niby struchlały, z głupia frant, spytał:

— Domine sapientia, dadzą-li nam to odzienie w akademji, czy tylko pieniądze na kupienie?

Sapientia, ćwik stary, nie wierzył w Pietrkową naiwność i pokorę, i huknął z obrażoną godnością:

— Mnie się będziesz, raku jeden, pytał? Do krawca idź, niecnoto! Nuże, wartko! Pieniądze—a juści!

— Srogo krzyczy, chodźmy! — szepnął Stach przezornie.

Wyszli znów na ulicę, Pietrek rozbawiony, przedrzeźniał sapientię, podskakując do czapki Stacha.

— Wyskub piórka, Sodomo! Gdzieżeś ich nabrał, rozpustniku?

— Pódź precz! — bronił mu się Stach, zasłaniając swoje piórka nad uchem zatknięte.

Szli ku rynkowi, aby tam sprzedać nóż Hieromina.

Otóż był wtedy wielki jarmark, i do mnóstwa zwykłych kramów, którymi wielkie, główne gmachy w rynku były obstawione, przybyły jeszcze nowe budy i kramy i mnóstwo rozmaitych handlujących. Zacy szli i przyglądali się, oszołomieni gwarem, krzykiem, ruchem, ale już patrzyli na miasto, jak na swą dziedzinę, gdzie maluczko, a będą się czuli, jak ryba w wodzie.

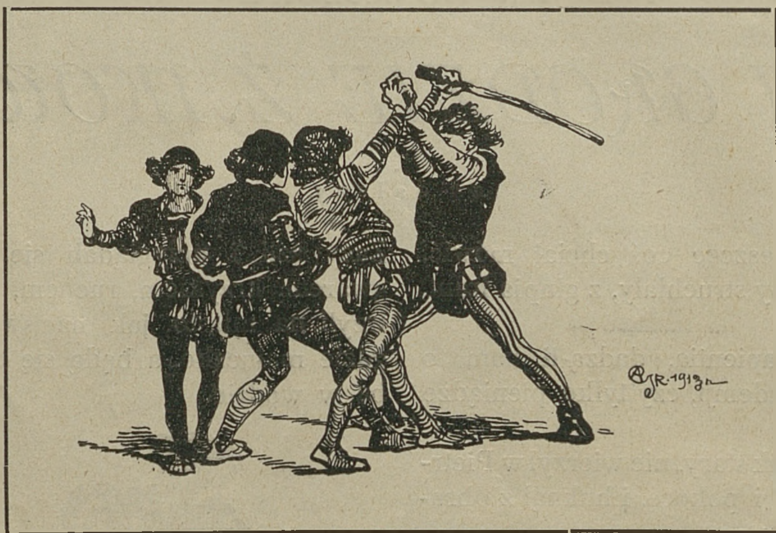


A wyście co za jedni?

Szli, a tu ich przekupki wołały: ta do sera, ta do chlebów, ta do obwarzanków, ta do kiełbas. Mieli jeszcze jedzenie, które im dał pański kucharz, gdy się z nim żegnali, toteż nic nie kupili, ale aż im ślinka szła do tych smakołyków.

Od strony kościoła Panny Marji, stały

kramy nizkie, drewniane, tworzącą między sobą długą i wązką uliczkę, zwaną maclochem. Tam to kupczyli nożownicy i płatnerze, i handlarze wszelkiego żelaziwa. Żacy przecisnęli się do maclochu i widząc kram płatnerski z samego kraju, przysunęli się ku niemu. W ciemnej głębi siedział kupiec, a na deskach



.... Bili się z kozą...

wytartych i błyszczących od długiego użytku, rozkładały się z przodu różne rodzaje mieczów, noży. Z góry zwisały od nizkiego daszku zbroje lśniące, łuki, kołczany ze strzałami.

— Panie kupcze! — zawołał Pietrek, — nóż kupisz?

— Pokaż—odrzekł kupiec, nie ruszając się z głębi.

Hieromin wydobył swój nóż i ruszył nim ku światłu, nie wyjmując z pochwy, tylko, aby błysnęły srebrne okucia.

Teraz kupiec uznał, że warto się dźwignąć, i szapnąwszy wstał i przystąpił do łady. Był to człowiek gruby, czerwony, zdyszany ustawicznie, z miękimi policzkami i obwisłemi powiekami.

Wziął nóż, wydobył, przesunął palcem po ostrzu, i nic po sobie nie dając poznać, czy mu się ta broń podoba, czy nie, spytał.

— Ile chcesz?

Hieromin spojrzał na Pietrka, a Pietrek na Heromina.

— Dwadzieścia dukatów—rzekł Pietrek zuchwale.

Pewny był, że nóż nie jest wart ani ćwierci tej sumy bajecznej, i chciał pokazać kupcowi, że się zna na handlu i umie się targować. Ale nóż był wart właśnie koło dwudziestu dukatów, z powodu rzadkiej stali i kunsztownej oprawy.

Kupiec przeto, uderzony tak słuszną oceną, ale widząc zarazem, że ma przed sobą nieobytych z miastem żaków, pokręcił głową i rzekł:

— Bierz go tedy, i idź gdzie dalej szczęścia probować. Nikt ci tyle nie da.

— A ile pan kupiec da?

— Hm... hm...—zamruczał kupiec—trzy dukaty.

Hieromin, który sądził, że skoro Pietrek powiedział dwadzieścia, należy mu się dwadzieścia, zawołał z gniewem, zarumieniony:

— Trzy? O zdrajco! Idziem dalej!

I chwyciwszy nóż, odwócił się żywo. Ale kupiec nie chciał puścić takiej gratki, mając nadzieję, że przecież kupi choćby miał nawet dać i połowę ceny, i krzyknął:

— Postój mało! Czekaj! Dam ci pięć!

Hieromin, ani słuchając, chciał iść dalej, ale Pietrek go pociągnął za rękaw, i przytrzymał, szepnąwszy, że trzeba się zgodzić.

Jeszcze Hieromin stał niepewny co czynić, gdy stojący obok, i oglądający z miną znawcy miecze na ladzie, kuso ubrany człowiek, zaśmiał się głośno, i powiedział drwiąco:

— He, he! Żeby do żydów na Kaźmierz poszedł, toby takusieńko za zastaw dali!

— Jakem Krupka! — krzyknął kupiec, czerwieniejąc z gniewu — pójdziesz mi stąd, ty powsinogo, hultaju? On się na szlachetnej broni będzie znał! A juści, tyle co koza na pieprzu! Zabieraj się stąd, nuże! Bym na pachołka nie zawołał!



Front i kupiec Krupka.

— Wołaj! Wołaj! — odpowiedział ów — niech cię ratuje co żywo!

Widząc go tak pewnym siebie, żacy z zajęciem mu się przyglądali. Miał twarz chudą, całkiem wygoloną, tak że nie można by poznać wieku. Pomarszczona nie była, tylko fałdzista, i bardziej ruchliwa, a tak się te fałdy składały, że wyglądał, to jak wesoły kozioł, to jak owca przestraszona, to znów, jak lis chytry i sprytny. Oczka siwe i drobne łyskały mu pod powiekami, zawracając z jakąś rozkoszą i rozbawieniem od człowieka do człowieka, od rzeczy do rzeczy. Miał czapkę starą i wytartą, z obwisłymi na uszy klapami, i równie stare i zniszczone ubranie!

Widząc spojrzenia żaków nie bez podziwu na siebie skierowane, powiedział

do Hieromina z namarszczeniem i opiekuńczą powagą:

— Nie oddaj, nie oddaj, aż ci dwadzieścia dukatów zapłaci.

Kupiec Krupka huknął pięścią w deski, aż miecze zadźwięczały.

— Precz mi, hultaju, wałkoniu!

Ten zatarg zwrócił uwagę innych kramarzy, i cisnących się w maclochu kupujących.

Zaczęli stawać jak na widowisku, a inni kupcy odzywali się z sąsiednich kramów:

— Co tam się stało? Złodziej?

Drudzy zaś, którzy słyszeli o co poszło, wołali do Krupki:

— Wypędź go precz. hultaja, wydrwigrosza!

Bo każdy brał odrazu stronę współtowarzysza, przeciw jakiemuś przybłędzie nieznanemu, buntującemu gości.

(D. c. n.).



Wycieczki w najbliższe okolice Warszawy.

Ciąg dalszy

Na obszernym trawniku przed pałacem, obok kościoła parafjalnego, Aleksander hr. Potocki, dla uczczenia pamięci swoich rodziców wzniół wspaniały sarkofag dłuta Jakóba Tatarkiewicza, na którym znajdują się w całej postaci Stanisław hr. Potocki, Prezes Senatu, minister Oświecenia i Wyznań religijnych Królestwa Polskiego, słynny w swoim czasie mówca, zmarły w r. 1821 i małżonka jego, Aleksandra Lubomirska, zgasła w 1831 r. Cały pomnik osłania wspaniały baldachim.

Najwięcej przyozdobiła to królewskie ustronie ś. p. hr. Augustowa Potocka. Wodotrysk i upiększenia, ozdobny kościół i kaplica cmentarna, są dziełami jej starań.

Kiedy Jan Sobieski wznosił ten gmach i urządził obszerny ogród, Wilanów był położony nad samą Wisłą, ale rzeka w następnych latach zmieniła koryto i teraz leży nad jej odnogą.

Ursynów.

Ursynów znajduje się niedaleko pałacu królewskiego; jest to mały folwarczek, własność niegdyś Juljana, Ursyna Niemcewicza. Czcigodny ten i wielce zasłużony mąż, rycerz i literat w sędziwych swych latach miły po pracach odpoczynek znajdował. Tu go odwiedzał wtedy Juljusz Słowacki i hołd należny starcowi oddał.

Do Wilanowa również należy włość, zwana N a t o l i n e m, z przepysznym ogrodem, który liczyć się może do najpiękniejszych parków w Europie. Ci, którzy dokładnie zwiedzili Francję i Anglię wyznają, iż nie oglądali nic zagranicą, coby w porównaniu z parkiem Natolińskim iść mogło.

Droga bita prowadzi z Warszawy do Wilanowa, wstęp do pałacu dla publiczności w każdym czasie dozwolony, za zgłoszeniem się tylko do służby miejscowej.

Bielany.

Bielany należą również do pięknych okolic Warszawy, o milę od niej położonych, na wyniosłem wzgórzu nad Wisłą. Myśl nazwy i założenia kościoła księży Kamedułów powziął Władysław IV, z powodu Bielan krakowskich, które powstały na górze wysokiej, w pobliżu starożytnego grodu, ma-

jąc klasztor tejże reguły zakonników i kościół.

Kiedy Zygmunt III przeniósł stolicę do Warszawy, król Władysław IV, spełniając ślub pobożny, jaki zrobił w 1634 r. w czasie wyprawy wojennej, znalazłszy miejscowość, wielce przypominającą krakowskie Bielany, tu pierwszych, pomienionego klasztoru, zakonników sprowadził. I tak, miejsce, noszące nazwę „Polkowej Góry" przybrało nazwę Bielan, która się wywodzi od białych szat zakonników Kamedułów, zwanych w dawnej Polsce „Bialanami".

Z początku, gdy lasy otaczające Warszawę, miały zapadłe knieje, pełne grubego zwierza, królowie chętnie w nich polowali, i w tej ustroni cichej, a samotnej, po kilka razy w roku zamieszkując, oddawali się pobożnym rozmyślaniom i modlitwom. Tak robili: Jan Kazimierz, Michał Korybut i Jan Sobieski.

Jan Kazimierz darował klasztorowi obraz św. Bonifacego, który z wielką uroczystością sprowadzono przy udziale licznego tłumu w drugi dzień Zielonych Świątek. Król wyjednał przytem bullę papieską dla Bielan na odpust doroczny w tymże dniu. Odtąd też datują się tradycyjne pielgrzymki i wycieczki Warszawian w Zielone Świątki na Bielany.

Od czasu panowania Stanisława Augusta, Bielany weszły w modę wielkiego świata; charakter wycieczek początkowo religijny ustąpił miejsca modzie. Zwano je wtenczas, gdy wszystko na francuski krój przerabiano: „Longchamps Warszawskie".

Świat elegancki i magnaterja ukazywały się w Zielone Świątki z całą wystawnością i przepychem. Laufry w kapelusikach ze strusiemi piórami, w trzewikach i pończochach, wystrojone w jaskrawe barwy, biegły kłusem przed pojazdami panów, potrzaskując z biczyków.

Kto chciał poznać bogactwo krajowe, miał je przed sobą na tej przejażdzce w długich rzędach karet i pojazdów.

Lud Warszawski, rzemieślnicy i mniej zamożni obywatele, nie czekając tej pory, korzystali ze świeżego oddechu wiosny i wcześniej dążyli na Bielany, które do roku 1839 przedstawiały dwa światy: elegancki — pański i ludowy.

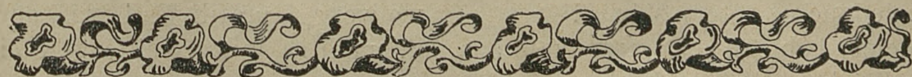
Dziś, dawna świetność Bielan na Zielone Świątki od lat wielu zagasła, zwyczaj jednak utrzymał się dotąd i lud, wierny tradycji, podąża tam rok rocznie.

Cenną pamiątką na Bielanach jest grób, Stanisława Staszica.

W gazecie „Wiadomości Warszawskie" z dnia 19 maja 1766 r. takie znajdujemy sprawozdanie:

„Z rozkazu Jego Król. Mości na Bielanach był bal wspaniały, jakiego tu nie pamiętają. Wschody od Wisły na górę różnej barwy, teatra i machiny nowo wystawione, rzęsistym ogniem i piękną inwencją iluminowane, przedziwny okazywały widok. Dodał wesołości fajerwerk, pięknie zapalony. Nie tylko dla państwa, ale i dla pospólstwa wszystkiego hojnie dodawano. Dla chłopów też rozrywki i praemia były wyznaczone. Król w licznej asystencji Wisłą przybył i od miasta na Wiśle zgromadzonego, w ubranych pięknie łodziach był witany i stamtąd aż po północy do zamku powrócił.

D. n.





POGOŃ NAOKOŁO ZIEMI

OPOWIADANIE WSPÓŁCZESNE

opracował J. Szczawiński.

DOKOŃCZENIE

Przerażeni podróżni zerwali się z miejsc; kilkadziesiąt głosów zabrzmiało na raz.

— Co się stało? Czy może parowiec wjechał na rafę?

Obydwaj koledzy pobiegli na przedni pokład, aby zobaczyć, co się stać mogło. Monsard swem wprawnem okiem marynarza dostrzegł odrazu kontury kilku statków, które stały mniej więcej o 200 metrów od „Syberji" pozornie zupełnie nieruchomo.

Pomimo ostrożności, o mało co nie stała się katastrofa; tylko minuta później, a „Syberja" w pełnym biegu wpadłaby pomiędzy statki.

— Cóż to do diaska ma znaczyć? — zawołał zdziwiony Monsard.—To nie jeden statek, to cała ich moc. Pośrodku zdaje się jest parowiec, a dookoła niego dżonki.

„Syberja" wolno poczęła się zbliżać do zagadkowej przeszkody, podczas, gdy syrena nieprzerwanie wyła. Teraz wyraźnie widać już było mały parowiec, otoczony chińskiemi dżonkami.

Lecz co to być mogło?... Strzały najpierw pojedyńcze, potem salwa...

Przyjaciele pobiegli na most kapitana i usłyszeli jak kapitan wołał:

— Jeżeli się nie mylę, odgrywa się tu walka. Czarne flagi, zdaje się, zwyciężają.

Zwracając się do pierwszego oficera rzekł:

— Panie Lewis, niech pan natychmiast każe spuścić łodzie z uzbrojonymi ludźmi. Niech idą w razie potrzeby na pomoc, my tymczasem podjedziemy bliżej.

Po kilku minutach spuszczono na morze łodzie z uzbrojonemi marynarzami. Podróżnych owładnął niepokój: wyrazy: „morscy rozbójnicy", „czarne flagi", „napad", nie schodziły z ust; i niejeden, który kiedyindziej chętnie przechwalał się nigdy niemającemi miejsca czynami bohaterskiemi, był teraz blady i niespokojny.

Opowiadano sobie straszne historje o okropnych czynach malajskich i południowo-chińskich band rozbójników morskich, które i dziś jeszcze w oddalonych okolicach morza Chińskiego ośmielają się napadać nawet na wielkie parowce.

Monsard i Chmurzyński zapałali chęcią do walki. Przynieśli z kabiny swoje rewolwery, i prosili p. Lewis, aby użyczył im miejsca w trzeciej łodzi, którą również spuszczano na morze. Oficer zgodził się,

przyjaciele wsiedli i wrótce pod dowództwem p. Lewisa popłynęli na miejsce walki.

Tutaj znaleźli sześć dżonek, które teraz ca, rozkazując swym ludziom, wdrapywać się na parowiec po sznurowych drabinkach, które im rzucono.

Z przygotowanemi do strzału rewolwe-



szybko poczęły uciekać. Tylko jedna z nich pozostała przy napadniętym parowcu, ponieważ swym wystającym przegubem dostała się pod statek i widocznie nie mogła wydostać się. Lewis zbliżył się ze swemi łodziami, o ile można było, do parowrami, z obnażonemi szablami biegli naprzód, gdzie mała załoga parowca walczyła już resztkami sił.

Wyjąc i krzycząc ze wściekłości, opierali się rozbójnicy amerykanom; dobrze wiedzieli, że są zgubieni, lecz walczyli do

ostatka. Ich wężykowate krysy*) i tarcze nic nie pomogły wobec ognia marynarzy.

Oficer Lewis wziął na cel jednego z mężczyzn, który jak się zdawało, był dowódzcą bandy. Rozbójnikowi wypadł z ręki krys a on sam padł na ziemię.

I tak padali jeden po drugim, aż w końcu, niewielu pozostałych przy życiu, wyskakując z pokładu, ratowało się ucieczką na dżonkach.

Napastnicy byli pobici, bitwa skończona. Kapitan „Nautilus'a", (tak się nazywał mały parowiec), uścisnął z wdzięcznością dłoń oficera a na zapytanie, jakie poniósł straty, wskazał na młodego człowieka, który leżał zbroczony krwią.

— Tylko ten podróżny jest zdaje się ciężko ranny. Inni ponieśli lekkie obrażenia.

Monsard i Chmurzyński nieśli pomoc rannym; nagle wyrwał się z ich ust okrzyk najwyższego zdziwienia, gdyż poznali Alfonsa Gonzalesa...

Meksykańczyk otrzymał krysem straszny cios w głowę i leżał prawie martwy. Z wielką ostrożnością przeniesiono go na „Syberję", gdzie zbadał go lekarz okrętowy.

— Jakże z nim jest? — spytał lekarza Jan, gdy ciężko rannego umieszczono w lazarecie okrętowym.

Lekarz wzruszył ramionami.

— Nie można go uratować! Być może pożyje jeszcze kilka godzin, możebne również, że za kilka minut umrze.

— Czy jest przytomny? Czy mogę z nim mówić? To mój dawny kolega.

Lekarz zaprowadził obydwóch do lazaretu. Tutaj na tapczanie leżał z wybladłą twarzą ciężko raniony. Był zupełnie przytomny i poznał wchodzących— ciężko westchnąwszy, próbował się odwrócić.

— Alfonsie Gonzales—rzekł Jan cicho ze wzruszeniem— jednak musiałem pana zobaczyć!

Umierający chwycił Chmurzyńskiego za rękę i szepnął:

— Ze mną już koniec. Czy może mi pan przebaczyć? Nienawidziłem cię, ponieważ widziałem w tobie współzawodnika. To było powodem mego szkaradnego uczynku.

— Nie mówmy o tem — odrzekł Jan. Nie ma pan przed sobą prześladowcy. Niech mi pan tylko objaśni, jakim sposobem znalazł się pan na „Nautilusie".

Meksykańczyk opowiadał słabym urywanym głosem. Kiedy w porcie Honolulu wskoczył do morza, aby dostać się na ląd, wydostali go z wody marynarze „Nautilusa", który właśnie odbił do Hongkong. Tutaj opowiedział im jakąś bajkę, aby usprawiedliwić wypadek, i na prośby został zabrany jako podróżny. „Nautilus" miał słabe maszyny i płynął powoli a w kanale Ballingtang został napadnięty. Gonzales padł pierwszy w walce.

Gdy Meksykańczyk skończył swoje opowiadanie, Monsard rzekł:

— Czy nie wolałby pan mieć czyste sumienie, oddając memu przyjacielowi, który z powodu pana jeździ po całej ziemi, jego własność? Gzie pan schował model łodzi i rysunki?

Zapytany podniósł głowę i odparł, mówiąc coraz cichszym głosem:

— Tylko jeden szkic mam przy sobie, model zostawiłem w Hamburgu w bezpiecznem miejscu. W mej kieszeni— papiery—tam pan znajdzie—jeszcze raz przepraszam...

Głos zamarł na ustach a głowa opadła wtył. Alfons Gonzales umarł. „Syberja" zabrała jego ziemskie szczątki do Hongkong. Tam też zostały pochowane na cmentarzu kolonistów.

Monsard i Chmurzyński pojechali okrę-

---

*) krys—sztylet malajski z ostrzem wężykowatem.

tem dalej do Tientsin, a po czternastu dniach, syberyjską koleją udali się do Niemiec.

* *

*

Gonzales, umierając powiedział prawdę. Model znaleziono w Hamburgu, tam, gdzie go ukrył przed swoją ucieczką.

Dostał się znów w posiadanie Chmurzyńskiego, któremu wrótce udało się spieniężyć swój wynalazek.

Szef, i wszyscy koledzy serdecznie witali długo niewidzianego, a Jan był rad, że nareszcie będzie mógł poświęcić się systematycznej pracy.

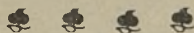
Jeszcze bardziej ucieszył się, gdy Karol Monsard znalazł w tym samym interesie odpowiednie swoim zdolnościom miejsce.

W tej pełnej przygód pogoni naokoło ziemi znalazł Chmurzyński przyjaciela na całe życie.

KONIEC.



„Ażebyś ty, jasne słonko, wiedziało...”



— Panienko, a dziś będziemy czytały?

We drzwiach salonu stoi osiemnastoletnia Kasia. Duże jej niebieskie oczy wyrażają błagalną prośbę, w spracowanych rękach trzyma elementarz.

Gabrynia, siedząc na bujającym fotelu przy oknie, zwróciła niechętnie w stronę drzwi złotą swą główkę.

— Dobrze, Kasiu, zaraz przyjdę...

Służąca uśmiechnęła się radośnie i szybko oddaliła się z pokoju.

Gabrynia tymczasem, przerzucając niedbale kartki dzienniczka, w którym zanotowane były słówka francuskie, zaczęła skarżyć się półgłosem:

— Ach, ta nieznośna francuzczyzna! Nauczyć się tych słówek nie mogę, a tu już zmrok zapada... I jeszcze z Kasią trzeba mieć tę lekcję... Taka nudna lekcja...

I dziewczynka, skarżąc się tak i wyrzekając, myślami daleko odbiegła od dzienniczka i od Kasi, która ślęcząc nad elementarzem, cierpliwie czekala na panienkę.

— Jednak ta nowa sukienka doskonale leży... Jeszcze raz ją przymierzę, poczekam tylko na mamę. Ach, byłabym zapomniała! Dziś zacznę czytać tę nową książkę, pożyczoną od Tereni. Ma być bardzo zajmująca—naturalnie książka, nie Terenia!

— Wogóle ta Terenia - to taki mól książkowy — ciągle czyta. A jutro próba, prawda! Rolę już umiem! Wszystko to są rzeczy bardzo miłe, które uprzyjemniają życie, nie tak jak słówka francuskie lub lekcje ze służącą. Ale cóż ja robię? Jakżeż można tak czas tracić... Do pracy, panno Gabryelo, do pracy!

Dziewczynka zerwała się z fotela i zamaszyście zaczęła chodzić wzdłuż pokoju, z zapałem ucząc się słówek. Po upływie dzie-

sięciu minut Gabrynia uporała się w zupełności z tą nieszczęsną francuzczyzną i, przebiegłszy przez dwa pokoje, jak wicher, wpadła do kuchni.

— Jestem, Kasiu! Czytamy!...

* * *

— To w waszej wsi niema szkoły?

— Nie, panienko, i nigdy chyba nie było. Uczą się trochę jedni od drugich. Zeszłej zimy Antolka sołtysówna pokazywała dzieciom litery.

— I niektóre nauczyła czytać? — pytała z żywem zaciekawieniem Gabryela.

— A jakże! Dwóch chłopców naszej kumy, Sęktasowej, Felka, kowalczyka, naszą Maryśkę, i... pewnie ze siedmioro.

Panienka po chwili znów zapytała.

— A daleko, Kasiu, z waszej wsi do szkoły?

Całe cztery wiorsty, w Sokolniku. Z niektórych wiosek tych, co są bliżej, chodzą dzieci do tej szkoły, a z naszej wsi tylko trzech chłopców...

Panienka zamyśliła się poważnie, a potem rzekła:

— Ile razy tylko będziesz miała czas, powiedz, Kasiu, a pomogę ci w czytaniu... Może i ty kiedyś niejedno dziecko nauczysz...

Kasia spojrzała z wdzięcznością na dobrą panienkę i zaczęła czytać, a czytała z takim zapałem, z taką ochotą, że aż rumieńce wytrysnęły jej na policzki, z taką — rzec można — iście chłopską zaciętością, po kilka razy wracając do zdań, już przeczytanych.

A przez złotą główkę Gabryni przemknęła myśl, która przyoblekła się w rytm słów wielkiej poetki:

„A żebyś ty, jasne słonko, wiedziało,
Co na ziemi jeszcze cieniów zostało".

Michalina Chełmońska.

CUD...

Noc cicha... Lampa płonie,
księżyca blady krąg
zagląda w okna moje,
śle węże srebrnych wstąg...
Ból w duszy mojej drzemie,
powstaje za czymś żal,
spojrzenia ślę tęskliwe,
we mroczną świata dal...

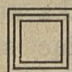
. . . .

Śnię... Wdziałem ojców zbroje
i w krwawy idę bój,
a całe rdzą pokryte:
szablica, pancerz mój...
Śnię... Zarżał koń bułany,
na głowę wdziałam kask,
lecz jakiś mętny, nikły
pancerza mego blask...
Hej!.. Idę w bój szalony,
na mieczu moim krew!..

. . . .

Cud!.. Płonie pancerz rdzawy.
jak gorejący krzew...

J. Dzięciołowski.



SŁONIE.



Ojczyzną dzikich słoni są lasy Indji, półwysep Indochiński, Cejlon, Sumatra i Borneo. Żyją one stadami, przeważnie po trzydzieści lub czterdzieści sztuk, każde stado tworzy oddzielne państwo. Naczelnikiem jego bywa zwykle dorosły samiec o wielkich silnych kłach, którego wszyscy słuchają i zbliżają się do niego z największą uległością.

Jednak w wędrówkach przez lasy lub podczas ucieczki przewodniczką stada jest samica i ona wyznacza szybkość marszu taką, w jakiej mogą nadążyć młode.

Powonienie i słuch u słonia są tak rozwinięte, że ze znacznej już odległości zwietrzy nieprzyjaciela, i dlatego też niema zupełnie celu podchodzić stado słoni od strony wiatru. Na milę odległości słyszą one trąbianie swych krewniaków i rozmieją je dobrze, słonie bowiem wy dają rozmaite dźwięki, zależnie od tego, w jakim w danej chwili znajdują się nastroju: zadowolenie lub smutek, ostrzeżenie lub wabienie, strach lub złość oznaczane są innemi tonami. Kiedy pędzą do ataku przez zarośla, głos ich podówczas brzmi przeraźliwie, jak grzmot.

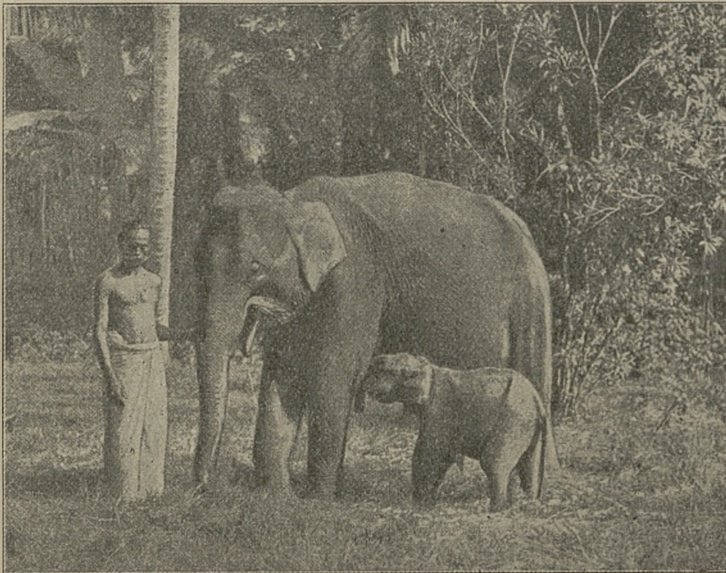
Trąba słonia – to jego najczulsze i najpożyteczniejsze narzędzie. Jest ona nadzwyczaj ruchliwa i giętka i składa się z 40,000 podłużnych i pierścieniowatych muskułów. Za pomocą niej odrywają słonie gałęzie z drzew, zręcznie obskubując je z kory, liście zwijają w pęk i wkładają do paszczy. Ruchy słoni są powolne i ociężałe, a małe ich oczy, prawie bez wyrazu, czynią wrażenie, jak gdyby najmniejszej uwagi nie zwracały na swe otoczenie. Podczas gorących godzin dnia leżą lub stoją wyprostowane na swych okrągłych, niezgrabnych nogach. Przed zachodem słońca wloką się do znajdującej się w pobliżu wody, by się napić. Trąbą nabierają wodę, a potem wstrzykują ją sobie w paszczę.

Jeżeli stado dzikich słoni przestraszy się, wtedy szybko zbiera się do ucieczki. Pędzą przeważnie staremi wydeptanemi ścieżkami, lecz nawet wtedy, gdy wydeptują nową, chodzą zawsze gęsiego, z wyciągniętą naprzód trąbą, którą pierwsze torują drogę następnym. Najgęściejsze zarośla trzciny bambusowej kruszą się, jak szkło, pod ich ciężarem, a koło ich boków słychać trzask łamiących się gałęzi i obalanych drzew. Młode słoniki, koloru czerwonawo-czarnego, trzymają się każdy między czterema nogami swej matki, a ta pilnie uważa, żeby swego dziecka nie zdeptać. Bieżące potoki nie przedstawiają dla słoni żadnej przeszkody; wchodzą spokojnie do wody, a kiedy tracą grunt pod nogami, płyną dalej; wtedy całe stado płynie w dół rzeki, zbliżając się równocześnie do drugiego brzegu. Dookoła ich piersi woda pieni się, jak koło parowca. Swoje najmłodsze matka podpiera trąbą podczas pływania, większe zaś

włażą na jej grzbiet. Gdy te kolosy namacają grunt, wówczas wznoszą się ich czarne, zgarbione grzbiety nad wodę, potem idą wolnym truchtem dalej przez nową gęstwinę leśną.

Jeżeli natrafią na okolice zamieszkałe, wielkie polany w lasach, gdzie Indusi mają swe pola uprawne, wtedy tuziemcy z trudnością mogą się od nich uwolnić. Pola bowiem uprawne stanowią dla słoni najsmaczniejsze pastwisko, dlatego przy roślinach, nawiedzanych często przez nie, stoją warty, które biją ciągle w bębny, krzyczą i hałasują, a gdy to nie pomaga, podpalają duże stosy trzciny bambusowej, by zwierzęta zmusić do ucieczki. Często jednak słonie poznają się na tym, nie dają się wziąć na kawał i nie ruszają się z miejsca. W ogólności jednak są one dobrodusznemi, spokojnemi i trwożliwemi zwierzętami i umykają co sił, skoro zwietrzą jaką biedę. Dla człowieka nie są one niebezpieczne, ale zato człowiek jest ich wrogiem najzawziętszym.

W Indjach umyślnie chwytają dzikie słonie, by je oswoić i zaprząc do pracy. Aby podejść dzikie słonie, zwykle posługują się do tego słoniami oswojonemi. Zręczni łowcy kryją się o ile możności na grzbietach swych oswojonych zwierząt i pędzą je na stado ich dzikich krewniaków. Jeżeli tylko jaki dorosły samiec odbije się od swego stada, wtedy myśliwi otaczają go ze wszystkich stron, zajmują go i straszą, by mu przeszkodzić w ucieczce i by go zmęczyć. Czasem trwa to prawie całe dwie doby, nim słoń się tak znuży, że obojętny na swój przyszły los położy się wreszcie na ziemię. Wtedy Indusi zeskakują szybko ze swych oswojonych wierzchowców, wiążą skórzanemi postronkami przednie nogi zmęczonego słonia i przywiązują go mocno do poblizkiego drzewa.

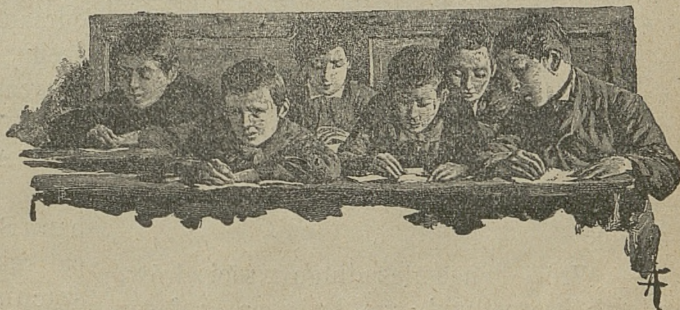


Słonie cejlońskie.

Na Cejlonie trafiają się bardzo zręczni łowcy, którzy we dwóch bez pomocy oswojonych słoni, chwytają zdobycz. Idą po znalezionym tropie przez lasy i gęstwinę, rozróżniając dokładnie dawność każdego śladu, liczbę przechodzących słoni i szybkość

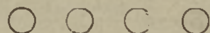
ich biegu. Najmniejszy znak na drodze, na który profan nie zwróciłby uwagi, daje im cenne wskazówki, a kiedy natrafią na stado, idą za nim bez szmeru, jak cienie; skradają się po leśnych ścieżkach tak ostrożnie i cicho, jak lampart, nie dotykając ani jednego liścia i nie następując na łamiącą się gałęź, by słonie, dzięki swemu doskonałemu powonieniu i ostremu słuchowi, nie przeczuły ich bytności w pobliżu. W gęstym lesie, gdzie słonie jedynie z trudnością mogą się poruszać, podbiegają ku nim, zarzucając pętlicę z postronków, z wołowej skóry na przednie nogi upatrzonej ofiary i pociągają nią w odpowiedniej chwili. Jeżeli słoń zauważy grożące mu niebezpieczeństwo, szykuje się do ataku pomocy trąby, wtedy jego prześladowcy zmykają, jak myszy leśne, w gęstwinę, lecz wkrótce znów wracają, by wzmocnić pętlicę, aż dopóki nie skrępują słonia zupełnie.

(D. c. n.)



Marja Buyno.

KOLEDZY.



Ciąg dalszy.

Staruszek był bardzo zadowolony, zobaczywszy przybyłego. Panowie znali się już dawniej i mieli dla siebie dużo szacunku.

— Jak to dobrze, że profesor przychodzisz. Dowiem się wreszcie czegoś o tym biedaku...

— Czy tak ciężko chory? Czy nie ma nadziei?! — gorączkowo pytał pan Molski.

Doktór Ksawery zrobił nieokreślony ruch rękami:

— Natura robi nieraz wielkie niespodzianki... organizm bardzo silny...—mruknął.

— Więc tak źle! Tak źle! Co za szkoda! Co za wielka szkoda!

— Cicho, na miłość Boga!—szepnął doktór, chwytając pana Molskiego za rękę.— Tam za ścianą jest matka — póki ona wierzy w ocalenie syna, nic nie jest stracone. Lecz wiara jej musi być silna i niezłomna, nic jej nie powinno mącić...

I znów rozległo się dyskretne pukanie do drzwi. Zygmunt pospieszył otworzyć i znów cofnął się, zdumiony, ujrzawszy przed sobą—Witolda.

Ten był nie mniej zdziwiony i zmieszany.

— Ah, kolega tu...— zaczął zwykłym sobie ugrzecznionym tonem dorosłego człowieka.

— Michaś bardzo chory, niebezpiecznie! To przez nas, przez nasze okrucieństwo! Ah, w głowie mi się mąci! Trzeba coś radzić, coś robić!—szepnął Zygmunt, wciągając kolegę do pokoiku doktora.

— To znów kolega! Doskonale. Złożymy maleńką radę; młodzież opowie nam wszystko, co wie...

Lecz niedanem było staruszkowi poro-

zumieć się z chłopcami, gdyż w tej chwili drzwi się uchyliły bez szelestu i w progu stanęła wysmukła, blada postać kobieca. A taki ból szedł od tej pięknej twarzy, taka męka malowała się w dużych, głębokich oczach, a zarazem moc jakaś dziwna i niezwykła biła z całej tej wątłej, słaniającej się postaci, iż wszyscy obecni powstali i z najgłębszym szacunkiem, czcią nieledwie pochylili głowy.

Pani Strzemboszowa zatrzymywała kolejno wzrok na obydwóch chłopcach, poczem rzekła cichym, melodyjnym głosem:

— Jesteście zapewnie towarzyszami szkolnemi mego biednego chłopca. Dziękuję wam w jego imieniu za pamięć o nim. On was tak kochał wszystkich; nawet nie znając was, tak do was tęsknił, tak się rwał do tego życia koleżeńskiego i oto, kiedy się znalazł między wami...—głos jej się przerwał, oczy zaszkliły się.

— Wróci do nas niezadługo, wróci zdrów, silny i szczęśliwy!—rzekł z mocą profesor Molski.

Pani Strzemboszowa zwróciła się do mówiącego, z żywą wdzięcznością wyciągając doń rękę:

— Wróci! Wyzdrowieje! I ja w to wierzę... inaczej... nie mogłabym... żyć!

Panu Ksaweremu tymczasem przyszła doskonała myśl do głowy:

— Zostawię tu z niemi nieszczęśliwą matkę. Oderwie to ją na chwil bodaj kilka od ciężkich myśli. A przytem chłopcy pod kierunkiem dzielnego profesora, może uspokoją jej obawy co do stosunków koleżeńskich.

— Pójdę teraz do mojego chorego na chwilę, a pani tu zostanie i pogawędzi z chłopcami! – rzekł, wychodząc z pokoju.

Przez chwilę panowała cisza, wreszcie Pani Strzemboszowa jakby ulegając myśli, która ją absorbowała od dłuższego czasu, zapytała, patrząc badawczo w oczy chłopców:

— Wyście go kochali? Prawda?

Zygmunt zadrżał. Wszystka krew spłynęła mu do serca, twarz i ręce mu zlodowaciały; spuścił oczy, czując, że nie zdołałby przy największych nawet wysiłkach wykrztusić bodaj jeden wyraz. I zdawało mu się, że chwila milczenia, jaka nastąpiła po tem pytaniu, trwa wieki całe, bez końca. Odetchnął dopiero, gdy usłyszał głos Witolda, cichy, ugrzeczniony, lekko drżący, jakby z tajonego wzruszenia:

— O tak, proszę pani! Michaś ma złote serce, a jego zdolności wysunęły go odrazu na pierwsze miejsce! Od pierwszego dnia po jego przyjściu do szkoły, przeczułem jego piękny charakter i odtąd — nie rozstawaliśmy się...

— Ah, tyś był jego przyjacielem! O, dzięki ci, drogie dziecko!—szepnęła wruszona pani Strzemboszowa, wyciągając do chłopca rękę, którą ten ucałował z wielkim szacunkiem.

Z kolei wzrok matki przeniósł się na Zygmunta, który siedział sztywny, blady, nie zdolny spojrzeć na nikogo. Czy Witold kłamał w tej chwili, czy wówczas, przed kolegami było mu zupełnie obojętne. To pewno, że uspokoił nękaną niepokojem matkę.

Teraz on musi coś powiedzieć, lecz on skłamać nie potrafi, a powiedzieć prawdę.. Jednak trzeba coś powiedzieć... czuł na sobie wzrok pani Strzemboszowej i spojrzenie profesora Molskiego...

— Ja nie jestem osobistym przyjacielem Michasia. Nie zdążyliśmy się zbliżyć do siebie... przyszedłem w imieniu całej klasy dowiedzieć się...

Głos jego brzmiał sucho, przykro...

— Ah, więc wszystkich chłopców interesuje los Michasia, chcą się o nim czegoś dowiedzieć! Dobre, kochane dzieci! Powiedzcie im, że Michaś jest chory, cięż-

ko chory! Ale musi wyzdrowieć! Musi! I wróci do was, by w otoczeniu waszych ciepłych, dobrych serc pracować dalej, rozwijając swój umysł i duszę!

Zygmunt czuł, że dłużej wytrzymać nie będzie w stanie, że wyrwą mu się z gardła przemocą słowa prawdy, że krzyknie:

— To kłamstwo wszystko! Myśmy go nie kochali! Myśmy męczyli twego syna, myśmy go torturowali! Rzuć nam słowa pogardy! Nazwij nas nędznymi oszustami!

Lub też rozpłacze się, jak dziecko.

Wstał, ukłonił się sztywno i wyszedł. Na schodach wstrzymał się, ocierając pot z czoła. Gdyby chociaż pomówić z doktorem Ksawerym! Gdyby zapytać o radę profesora Molskiego!

Lecz właściwie teraz nie ma nic do zrobienia: kłamstwo Witolda, to jedyne w tej chwili wyjście z ciężkiego położenia, a on kłamać nie umie!

Zgnębiony, osowiały przywlókł się do domu i zabrał się do lekcji, starając się w pracy znaleść ulgę i uspokojenie.

* *

*

Od kilku dni cała czwarta klasa przeżywała gorączkowe chwile wyczekiwania i niepokoju. Wiadomość o chorobie Michasia, przyniesiona przez Witolda, wywarła głębokie wrażenie na chłopcach. Witold opowiadał z przejęciem i ze wzruszeniem o rozpaczy matki, która dniem i nocą nie odstępuje ani na chwilę od łóżka chorego. Obecnie, od kilku dni, Witold czuwa przez parę godzin przy Michasiu. Jemu tylko pani Strzemboszowa pozwala zająć swoje miejsce! Ale największe wrażenie na chłopcach robiło opowiadanie o gorączkowych bredzeniach chorego.

— Wypadki w klasie w zupełności widać go pochłaniały w ostatnich czasach, gdyż bezustanie są na jego ustach. Na szczęście są to oderwane wyrazy, z których ktoś nieświadom rzeczy, niewiele może się domyślić, ale dla mnie każdy wyraz jest pełen znaczenia i wierzcie mi, każdy taki okrzyk rani, jak pchnięcie sztyletu! Nawet nie możecie sobie wyobrazić, jak byliście okrutni dla tego biedaka, który się tak rwał do was, tak pragnął wam oddać własne serce.

Chłopcy słuchali z głowami opuszczonenemi, z sercami ściśniętemi boleśnie. Stawała im przed oczami miła twarzyczka kolegi, tak niesłusznie przez nich odtrąconego; przewinienia jego malały do zera, natomiast wyrastała olbrzymia krzywda, jaką mu wyrządzili, może nawet niezbyt świadomie. Myśl, że ten pokrzywdzony może się nie zjawić więcej między nimi, że może nie będą mogli wynagrodzić mu już nigdy krzywdy, jaką mu wyrządzili, stawała się tak męczącą dla nich, iż ze wszystkich piersi zgodnie unosiły się westchnienia:

D. c. n.

Największa powieść na świecie.

Japoński powieściopisarz Kiungte Bakin, napisał najdłuższą powieść w świecie, czem zdobył sobie sławę w kraju. Pracę rozpoczął autor z wiosną 1852 r. a skończył ją późną jesienią 1892 r., czyli, że pisał powieść 40 lat! Powieść składa się z 106 tomów po 1,000 stronic każdy. Ponieważ na każdej stronicy jest 20 wierszy, więc cała powieść zawiera około 3,180,000 wierszy. Przypuśćmy, że każdy wiersz składa się z 10 słów, to cierpliwy czytelnik, jeśli się taki znajdzie, będzie musiał przeczytać 32 miljony słów. Każdy egzemplarz tej powieści waży 60 kilo.

KRONICZKA.

△ Ojciec św. Pius X, zachorował ciężko, tak że zachodziła obawa o jego życie. Obecnie jest już na drodze do wyzdrowienia.

△ Wojska czarnogórskie zdobyły Skodar, pomimo, że wojska serbskie zaczęto wycofywać.

△ Między serbami a bułgarami wynikł zatarg o przyszłe granice zdobytych prowincji. Twierdzą, że może dojść do zbrojnych wystąpień.

△ Pod Czataldzą zawarto rozejm parodniowy, który ma się zakończyć zawarciem pokoju.

△ Arcybiskupem warszawskim ma zostać mianowany ks. prałat Aleksander Kakowski, obecnie rektor Akademji Duchownej w Petersburgu.

Aforyzmy o milczeniu.

(Uwadze Michasia A. polecone!)

Milczenie jest bronią rozważnych i ostrożnych; długi język jest wrogiem swego właściciela.

— — —

Do czasu powzięcia jakiegoś postanowienia, najlepiej jest milczeć.

GAWĘDKA LISTOWNA.

Dersławowi z Rytwian. Prenumerata «Naszego Świata» obejmuje i dodatki, za które nic się nie dopłaca. Broszurowane półroczniki z zeszłego roku już są gotowe. Październikowy dodatek był pod tyt. «Nauka życia» i nabyć go można w administracji (Ordynacka 8 m. 7). Trzeci tom pow. «Zwycięzcy bieguna» jest wyczerpany. «Lubonie» w oprawie kosztują rb. 1. Dokładna data wyjścia powieści, której tytuł obrano na łamigłówkę, jest drobnostką, na której roztrząsanie szkoda czasu.

Naszej Trójki logogryf umieszczę, arytmografu nie.

Wł. Pakszwera łamigłówkę umieszczę.

Historyka zadanie do druku się nie nadaje.

Tuni M. łamigłówkę przyjmuję.

Trzecioklasista nie dołączył do swojej łamigłówki rozwiązania, wobec czego drukowaną być nie może.

Loni B. z Wilna łamigłówka jest zbyt łatwą dla czytelników «Naszego Świata».

Dziutce P. z Łaskowa. Oprócz *znaczenia* wyrazów, tworzących łamigłówkę, trzeba podać i same wyrazy, czyli *rozwiązanie.* Tego przy nadesłanej łamigłówce brakuje, umieścić więc jej nie możemy. Szaradę przyjmuję.

Józefa z Warszawy łamigłówkę umieszczę.

Kazimierza P. łamigłówka jest nadzwyczaj nieczytelnie napisaną, ale z tego, co się dało odczytać, widać, że jest zbyt łatwą dla czytelników «Naszego Świata».

Józefa Gor. łamigłówka będzie umieszczoną.

Stanisław Błasz. dobrą łamigłówkę popsuł przez brak określenia, co tworzą *pierwsze* litery wyrazów i dlatego umieszczoną nie będzie.

«Rymarzowi» z Odessy. Myśli zawarte w wierszu, są piękne i zacne, forma jednak jest dość słaba i dlatego drukowanym być nie może.

Białej Konwalijce. Prace na konkurs historyczny można nadsyłać w każdym czasie. Łamigłówka będzie drukowaną.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 13-go nadesłała Sewerka Urbańska.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 14-go nadesłali: Biały Orlik, Telesfor Puma z ul. Wilczej.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 15-go nadesłali: Telesfor Puma z ul. Wilczej, Jadzia O. z ul. Komitetowej, Grom. Biały Orlik.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Warunki prenumeraty

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 4 —	rb. 5 kop. —
Półrocznie	„ 2 —	„ 2 „ 50
Kwartalnie	„ 1 —	„ 1 „ 25

Za granicą rocznie rb. 5 kop. 50

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.

Adres Administracji — Nowy-Świat 53.
Adres Redakcji — Ordynacka 8 m. 7.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: Marja Buyno-Arctowa. Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3